



ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZYTYŃSKIEGO / IPN

■ **Wiktoria Ulma** w ciąży i z sześciorgiem dzieci. Na strychu widocznego z tyłu domu rodzina Ulmów ukrywała ośmioro Żydów. Wszyscy – Polacy i Żydzi – zostali zamordowani przez Niemców 23 marca 1944 roku.

GRZEGORZ
BERENDT



Odwaga i uczciwość

Dokonane przez Trzecią Rzeszę ludobójstwo, którego ofiarą padli Żydzi, poraża zastosowanymi metodami i skalą. Zginąć miał każdy Żyd, który znalazł się na terenach kontrolowanych przez Niemcy. To, że ten cel nie został osiągnięty, wynika w pierwszej kolejności z pokonania Trzeciej Rzeszy przez siły aliantów. Ale w pewnym stopniu przyczynili się do tego ludzie, którzy mimo powszechnego terroru nie ulegli się ani głównych architektów, administratorów i wykonawców zbrodni, ani ich lokalnych współpracowników. Przy czym uwikłanie tysięcy mieszkańców okupowanej Europy w kolaborację z Niemcami nigdy nie powinno przesłonić faktu, że to przedstawiciele niemieckiego państwa nie tylko zgładzili przeważającą część ofiar, ale w jego imieniu dokonali wcześniej instytucjonalnego rabunku majątku i owoców niewolniczej pracy ludności żydowskiej.

Od pierwszych dni obecności armii niemieckiej na nowo zdobytych terenach Europy uświadamiano ofiarom oraz innym grupom miejscowej ludności, że w stosunku do Żydów stosuje się odtąd odrębne prawa, a władze okupacyjne przyzwalają na ich dyskryminację i szykanowanie, pozostawiając jednak sobie główną rolę w

sferze określania harmonogramu i form działań antyżydowskich.

Gwałtowna śmierć stała się na kilka lat codziennym doświadczeniem Europejczyków rządzonych przez niemieckich nazistów. Poza Żydami i Cyganami to Polacy, Białorusini i Ukraińcy ponieśli z powodu niemieckiego terroru największe straty osobowe w stosunku do ogólnej wielkości narodowych zbiorowości. Szybko stało się jasne, że zarządzenia mówiące o surowych karach za łamanie okupacyjnych zakazów i nakazów nie są czczymi pogrozkami. Potwierdzał to los dziesiątków tysięcy ludzi rozstrzelanych i powieszonych na ulicach oraz placach miast i miasteczek czy spalonych żywcem w swoich domach. Podobnie jak setki tysięcy osadzonych w więzieniach, obozach karnych i koncentracyjnych. Za pomoc Żydom groziły najsurowsze kary i represje, a w Polsce kara śmierci. Okupanci odbierali życie, wolność i majątek. Krewnym odbierali bliskie osoby, czynili ich nędzarami, ponieważ represje spadały też na członków rodziny, których nie zamordowano lub uwięziono.

Mimo masowego, codziennego terroru tysiące ludzi zdecydowanych było nieść pomoc tym, którzy zostali skazani na śmierć przez operujące z całą swoją sprawnością państwo niemieckie. W przeważającej części czynili to na własną rękę. Zorganizowaną,

ukierunkowaną pomoc świadczyło najdłużej Polskie Państwo Podziemne poprzez Radę Pomocy Żydom (kryptonim „Żegota”). Trwała ona od 1942 do 1945 r. W żadnym innym kraju akcja pomocowa nie trwała tak długo.

Do początku 2014 r. około 25 tysięcy osób zostało uhonorowanych przez izraelski instytut Yad Vashem tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, który upamiętnia ludzi niosących bezinteresowną pomoc ofiarom Zagłady. Jest wśród nich około sześć i pół tysiąca Polaków – a także dwa i pół tysiąca Ukraińców, sześciuset Białorusinów, 3800 Francuzów i 5400 Holendrów.

Wskazane liczby nie oddają wiernie skali pomocy świadczonej Żydom przez narody europejskie. Paradoksalnie pokazują natomiast różnice między warunkami niemieckiej okupacji na Zachodzie i w Europie Środkowo-Wschodniej oraz staranność mieszkańców Europy Zachodniej w dokumentowaniu faktów pomocy.

Na terenie okupowanej Polski i krajów położonych na wschód od naszych przedwojennych granic wykręście często udzielania pomocy bardzo często kończyło się doraźną egzekucją wykonywaną przez niemieckie formacje policyjne lub członków tzw. policji pomocniczych. Tak działo się szczególnie na wsi: mordercy nie tylko zabijali wówczas Żydów i ich opieku-

nów, ale też chcieli zastraszyć pozostałych mieszkańców. Szeroko nagłaśniali fakt represji. O szczęściu mogli mówić ci spośród wspierających Żydów, którzy zostali ukarani pozbawieniem wolności i skierowani do więzień lub obozów koncentracyjnych. Mieli szansę dotrzeć do końca okupacji.

Trzecia Rzesza była nie tylko wcieleniem totalitarnego zła: promowała je również wszelkimi dostępnymi środkami. Jednych starała się skorumpować, innych zastraszyć. W obu wymiarach jej działalność przynosiła oczekiwane efekty.

Z relacji Żydów, szukających ocalenia po tzw. aryjskiej stronie, wiemy, że stykali się z osobami, które nie udzieliły żadnej pomocy, a czasami wręcz były zagrożeniem. Wiele innych było zbyt przerażonych, aby darować coś więcej niż odrobinę żywności i krótkotrwałe schronienia. Ci ostatni pozostają bezimienni, chociaż byli ich tysiące i również im groziła kara śmierci.

Wśród uhonorowanych Sprawiedliwych nie ma na ogół tych, którzy zginęli wraz z ratowanymi Żydami. Po wojnie nie miał kto zaświadczyć o ich bohaterstwie lub świadectw tych nie uznano. W zeznaniach Ocalonych utrwalono najczęściej nazwiska osób udzielających pomocy przez dłuższy okres, niekiedy nawet przez wiele miesięcy, od 1942 do 1944 lub 1945

roku. Ale nie zawsze i ich nazwiska znajdziemy wśród uhonorowanych bohaterów, na przykład dlatego, że zmarli, zanim przystąpiono do przyznawania tytułu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. O stosunkowo niewielkiej liczbie uhonorowanych spośród mieszkańców dzisiejszej Białorusi i Ukrainy decydowała skala pacyfikacji tamtejszej ludności wiejskiej, a więc zagłada ratowanych jak i ratujących, oraz niemożność prowadzenia prac dokumentacyjnych w sowieckich realiach. Sprawiedliwi zniknęli więc wśród innych obywateli sowieckich zabitych przez „faszystowsko-niemieckich okupantów”. A dziś nie ma już często świadków, którzy mogliby opowiedzieć o tamtych wydarzeniach, nie mówiąc o dokumentach.

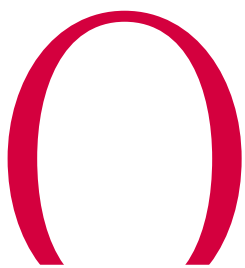
Aby upamiętnić więcej osób, które na to zasługują, godne najwyższego uznania dzieło pracowników instytutu Yad Vashem, musi być wspierane przez innych historyków, którzy z tysięcy zachowanych świadectw wydobędą opowieści o tych, którzy wbrew okupantom i kolaborantom i mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, narażali życie, aby uratować niewinne ofiary skazane na śmierć. ■

Autor jest wykładowcą historii na Uniwersytecie Gdańskim, członkiem zespołu IPN badającego problem represji za pomoc Żydom w okresie okupacji

Odwazni, obojętni lub okrutni

JACEK BORKOWICZ

Żadna opowieść o postawach wobec Zagłady nie powinna być pretekstem do pospiesznej, płytkiej stygmatyzacji czy też gloryfikacji całych narodów.



Obok Niemiec był jeszcze jeden kraj, o którym można powiedzieć, że w pełnym sensie tego słowa uczestniczył w dziele Zagłady. Tym krajem była Rumunia. Gdy pod dyktatorskimi rządami marszałka Iona Antonescu w 1940 r. weszła ona w sojusz z hitlerowskimi Niemcami, rozpoczęto wydawanie rozporządzeń dyskryminujących rumuńskich Żydów. Prawie wszystkich pozbawiono obywatelstwa, skazując kilkuset tysięczną rzeszę ludzką na brak jakiegokolwiek ochrony prawnej. Najgorsze przyszło jednak w chwili ataku Niemiec na Związek Sowiecki. Wojska rumuńskie uczestniczyły w nim jako sojusznik Hitlera. W zamian Rumunia otrzymała od Niemców nie tylko część Mołdawii zabraną Rumunii w 1940 r. przez ZSRS, ale też ukraińskie terytorium na wschód od Dniestru (tzw. Transnistrię), łącznie z Odessą. To tam koncentrowała się liczna populacja Żydów, podobnie jak we wschodnich prowincjach „starej”, przedwojennej Rumunii.

Wagony w pełnym słońcu

Już w pierwszych dniach wojny w mieście Jassy, stolicy rumuńskiej Mołdawii, doszło do strasznego pogromu, którego ofiarami padło kilkanaście tysięcy Żydów. Jeszcze więcej ofiar pochłonęła zagłada żydowskiej Odessy leżącej na terytorium Transnistrii. Jesienią 1941 r., a więc już w jakiś czas po przejściu frontu, w ciągu trzech dni wymordowano tam około 30 tysięcy osób. Ludzi zabijano na ulicach, większość

jednak zginęła w portowych magazynach, gdzie stłoczone tam ofiary najpierw rozstrzelano, następnie zaś podpalamo. Ci, którzy nie padli od kul, spłonęli tam żywcem.

Pozostałych przy życiu Rumuni pognali do obozów koncentracyjnych zbudowanych przez nich pospiesznie na wschodnich rubieżach Transnistrii. Poza niemieckimi (oraz chorwackim Jasenovcem) były to jedyne w historii obozy masowej zagłady utworzone na terytoriach okupowanych przez hitlerowskie Niemcy lub od nich zależnych. W ciągu dwóch kolejnych miesięcy z zimna, głodu i chorób zginęło tam kolejne 60 tysięcy osób. W ten sposób przepadła połowa spośród 200-tysięcznej żydowskiej ludności Odessy przed wojną. Podobnymi metodami rozprawiono się z około 400–500 tysiącami Żydów, zarówno na terytoriach okupowanych, jak na obszarze przedwojennej Rumunii.

Świadectwa historii zgodnie stwierdzają, że mordercza akcja nie była wynikiem niemieckiego nacisku, lecz inicjatywą rumuńskich władz. Jesienią 1941 r. na okupowanych terenach Białorusi i Ukrainy mordowały Żydów niemieckie Einsatzkommando, jednak z punktu widzenia hitlerowców była to akcja „wojskowa”, dokonywana na szeroko rozumianym zapleczu frontu wschodniego. Niemcy nie przedstawiali jej jako wzoru do naśladowania dla rządów państw satelickich – takie działania zainicjowano dopiero kilka miesięcy później, po konferencji w Wannsee, na której hitlerowscy przywódcy pod kryptonimem „ostatecznego rozwiązania” przypieczętowali los europejskiego żydostwa. W 1941 r. sami Niemcy byli zaskoczeni zarówno rozmiarami, jak i okrucieństwem rumuńskiej zagłady. Tysiące Żydów zginęło tam, stłoczone nago w wagonach bydlęcych, które przez ponad tydzień przewożono z miejsca na miejsce lub trzymano w polu – bez otwierania. W letnim upale i zaduchu wszyscy uwięzieni podusili się i pomierali z pragnienia. Jeszcze bardziej drastyczne przypadki bestialstwa zdarzały się w okupowanej Transnistrii.

Poza wojskiem i policją w tych okrucieństwach powszechnie uczestniczyli zwykli rumuńscy cywile. Tak było chociażby w Jassach, gdzie ludobójczą akcją z czerwca 1941 r. walcie wsparli ochotnicy spośród miejscowej ludności. I nie byli to bynajmniej tylko przedstawiciele marginesu: w gronie morderców znaleźli się studenci, a nawet notabli.

Na drugim biegunie społecznych postaw wobec zagrożonych eksterminacją Żydów umieścić można Danię. Ten niewielki kraj (niewielki szczególnie w porównaniu z potężnym niemieckim sąsiadem) jeszcze przed wybuchem wojny wybrał drogę unikania konfrontacji, podpisując z Trzecią Rzeszą pakt o nieagresji. W konsekwencji Niemcy, nawet po dokonaniu okupacji Danii, pozostawili Duńczykom ich króla, własny rząd oraz możliwość kontynuowania demokratycznych wyborów – o ile tylko nie sprzeciwiały się strategicznym zasadom niemieckiej polityki zagranicznej.

W Danii Żydów było niewiele – około 8 tysięcy. Część z nich stanowili uchodźcy z hitlerowskich Niemiec. Duńczycy od samego początku okupacji opowiedzieli się za solidarnością z Żydami, przeciwstawiając się wszelkim próbom izolacji oraz dyskryminowania tych ostatnich, jakie podejmował niemiecki aparat okupacyjny. Mogli to czynić z sukcesem, ponieważ korzystali z pozostawionej im swobody w wewnętrznych sprawach państwowych. Niemcy rzadzili w Danii za pomocą „sugestii”, nie nakazów, a na odmowę – inaczej niż w innych krajach okupowanych – odpowiadali nie terrorem, lecz ustępstwami.

W konsekwencji duńscy Żydzi przez długi okres okupacji mogli się cieszyć nieskrępowaną swobodą. Był to ewenement w skali okupowanego kontynentu. Skądinąd popularna historia o królu Chrystianie X, który na niemieckie żądanie, by duńscy Żydzi założyli na ramiona żółte opaski, miał odpowiedzieć, że on sam pierwszy to uczyni, okazała się propagandowym mitem, stworzonym jeszcze podczas wojny w środowiskach duńskiej emigracji w USA.



■ Instytut Yad Vashem i drzewko Sprawiedliwego – **Raoula Wallenberga**: szwedzkiego dyplomaty, który pracując na Węgrzech przyczynił się do uratowania tysięcy Żydów

Sytuacja zmieniła się latem 1943 r., kiedy Niemcy byli już w sposób widoczny stroną przegrywającą. W fabrykach Danii produkujących na potrzeby niemieckiego wojska zaczęły się strajki. Wówczas Hitler zdecydował się znieść fasadę duńskiej niezależności: Niemcy rozbroili duńską armię, a w miejsce króla i demokratycznych władz powołali własną okupacyjną administrację. To rozwiązało hitlerowcom ręce w stosunku do Żydów. 1 października 1943 r. rozpoczęła się ogólnokrajowa łapanka – niemiecka policja, korzystając z wcześniej przygotowanych list, krążyła po domach, próbując schwycić osoby żydowskiego pochodzenia.

Akcja ta jednak nie wypaliła. Duńczycy, wiedząc o planach Niemców, ostrzegli zawczasu żydowskich liderów. Ci rozpowszechnili wiadomość wśród współwyznawców, ogłaszając ją w synagogach podczas obchodów Rosz Haszana, czyli święta Nowego Roku.

Ludzie nie tracili czasu. Kilka tysięcy Żydów udało się Duńczykom przewieźć potajemnie łodziami przez cieśninę Sund do neutralnej Szwecji. Kolejne kilka tysięcy ukryło się w domach duńskich przyjaciół. Nie do wszystkich jednak dotarła wiadomość o deportacji. 477 osób zastano w ich mieszkaniach i wywieziono. Na szczęście zdecydowanej większości z nich udało się przeżyć wojnę.

Owych 477 aresztowanych to osoby, które... otworzyły drzwi hitlerowcom. Niemcy mieli zakaz włamywania się do mieszkań, by nie prowokować awantur z duńską policją. Tej, w odróżnieniu od wojska, nie zdążyli rozwiązać.

Welodrom hańby

Między przykładami Rumunii i Danii mieści się cała paleta zbiorowych zachowań narodowych społeczeństw Europy, reagujących na fakt prześladowania i zagrożenia życia ich żydowskich współobywateli.

Francja po klęsce militarnej na wiosnę 1940 r. podzielona została na strefę okupowaną bezpośrednio przez Niemców (włącznie z Paryżem) oraz tzw. Wolne Państwo ze stolicą w Vichy, gdzie urzędowały marionetkowe francuskie władze. Te ostatnie od samego początku zajęły się tropieniem, selekcją i wpisywaniem na specjalne listy osób pochodzenia żydowskiego. Działalność ta nie była narzucona przez Niemców – podobnie jak w Rumunii stanowiła własną inicjatywę Francuzów. Przy rządzie Vichy powołano Departament Spraw Żydowskich. Jego zadaniem nie była bynajmniej pomoc Żydom: kierowali nim ludzie znani przed wojną ze swych antysemitycznych poglądów.

W czerwcu 1942 r. Adolf Eichmann, główny koordynator „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”, dał sygnał rozpoczęcia ogólnoeuropejskiej akcji wywózki Żydów do obozów śmierci zbudowanych przez Niemców głównie w Generalnym Gubernatorstwie, czyli na okupowanych terenach polskich. Za pierwsze ogniwo swego zbrodniczego planu hitlerowcy uznali Francję. Żył tam wtedy – według list usługiwanych im przez urzędników z Vichy – ponad 300 tysięcy Żydów. Dobrze ponad jedną trzecią z nich stanowili bezpaństwowcy, a także uchodźcy z Belgii i Holandii. Gdy doliczono do tej sumy osoby posługujące się paszportami innego kraju lub też paszportem francuskim, lecz urodzone za granicą, okazało się, że większość Żydów przebywających we Francji to Żydzi zagraniczni.

Z punktu widzenia francuskich kolaborantów – a także szerokiego rzesz nastawionego ksenofobicznie społeczeństwa – były to osoby niepożądane. Szczególnie dotyczyło to bezpaństwowców, których w opinii dyktatorów Francji Vichy należało jak najszybciej usunąć z terenu kraju. Plan Eichmanna wydawał się więc tutaj idealnym rozwiązaniem, szczególnie że Niemcy „wspañiałomyślnie” zgodzili się na pozostawienie do dyspozycji Francuzów majątku po deportowanych.

Akcję przeprowadzono sprawnie i bezwzględnie. Bezpaństwowcy

Żydów z Paryża i okolic spędzono na miejski tor kolarski, czyli welo-drom; stamtąd załadowano ich do pociągów i wywieziono do Auschwitz. Podczas akcji wywózek oddzielano dzieci od rodziców, powstał więc problem, co zrobić z rosnącym tłumem żydowskich chłopców i dziewczynek. Urzędnicy z Vichy rozstrzygnęli go szybko, decydując się wydać Niemcom również osoby poniżej 16. roku życia. Podobnie jak dorosłych wywieziono je „na wschód”. Francuzi nie wiedzieli jeszcze – lub wiedzieć nie chcieli – co oznacza ten eufemizm.

W ten sposób zdążono deportować ponad 50 tysięcy osób, czyli jedną szóstą żydowskiej populacji Francji. Ostatni transport do Auschwitz odjechał w lipcu 1944 r., gdy alianci zbliżali się już do bram Paryża.

Swoi i obcy

Podział na swoich i obcych (poniekąd odwieczny w cywilizacji) okazał się wytrychem, którym hitlerowscy architekci Zagłady otwierali sobie drzwi do haniebnej współpracy ze społecznościami Zachodu. W większości krajów Europy idea jawnego ludobójstwa dokonanego na Żydach musiała wzbudzać społeczny opór. Jednak te same społeczeństwa, otwarcie lub po cichu, akceptowały pomysł usunięcia z kraju niepożądanych sąsiadów – ludzi mówiących niezrozumiałym językiem, często inaczej ubranych i dziwnie wyglądających włóczęgów, którzy tylko odbierają chleb miejscowym, a często stanowią kłopot dla policji i spokojnych obywateli. Tak właśnie wyglądał stereotyp żydowskiego bezpaństwowca lub obcego. Ludzi tych z reguły spisywano na straty jako pierwszych. Rządzący państwami satelickimi Niemiec – takimi jak Chorwacja czy Słowacja – nierzadko starali się przy tym odgrywać rolę jedynych sprawiedliwych. Bronili przecież własnych obywateli, tych „porządnych” lub „lojalnych” Żydów...

Z czasem jednak kategoria „dobrych Żydów” zawężała się coraz bardziej. Niemcy żądali coraz to nowych transportów do komór gazowych. I kolaboranci ustępowali.

Tak było choćby na Węgrzech. Wiosną 1944 r. Niemcy wtargnęli tam, degradując status tego państwa z satelickiego sojusznika do poziomu bezwolnej marionetki, i od razu, przy wsparciu swoich węgierskich pomocników, zaczęli wywozić do Auschwitz Żydów ze Wschodu. Ich węgierscy pobratymcy, suto opłacając się oprawcom, żywili nadzieję, że akurat ich nikt nie ruszy. Do czasu... Machina śmierci żądała coraz to nowych ofiar. Do czasu wkroczenia

na Węgry armii sowieckiej w krematoriach Auschwitz spłonęły ciała ponad trzech czwartych żydowskiej populacji tego kraju.

Fatalnego schematu współpracy nie uniknęli nawet Bułgarzy, często przedstawiani jako naród wzorowo zachowujący się wobec własnych Żydów. To prawda, satelicka w stosunku Trzeciej Rzeszy Bułgaria potrafiła imponujący sposób wybrnąć przed deportacją i śmiercią własnych obywateli żydowskiego pochodzenia. Postawę solidarności wobec nich wykazały zarówno władze, hierarchia Cerkwi prawosławnej, jak i samo społeczeństwo. Dzięki temu przez cały okres wojny ani jeden bułgarski Żyd nie zginął z powodu swego pochodzenia – co stanowi wyjątek na skalę europejską. Jednocześnie jednak ta sama Bułgaria zgodziła się wydać Niemcom 11 tysięcy Żydów z okupowanej przez siebie Tracji i Macedonii. Wszyscy zginęli w komorach gazowych Treblinki.

Na podział na swoich i obcych nie zgodzili się jedynie Duńczycy. Oczywiście mowa jest o sytuacjach, w których społeczeństwa poddane niemieckiej dominacji miały jakąś możliwość realizowania swej polityki. Tam, gdzie nie było kolaboracji – jak w Polsce – nie było też możliwości ustosunkowania się do takich wyborów.

Prawem paradoksu czasem wychodziło to Żydom na dobre. Z Belgii, do której wkraczały wojska hitlerowskie, uciekli w porę wszyscy przywódcy żydowscy. Nie było komu reprezentować miejscowych Żydów przed okupacyjną władzą. Nie powstały tam więc listy personalne, które w innych okupowanych krajach żydowskie komitety spisywały na użytek Niemców, w złudnej nadziei, że lojalna postawa uratuje życie przynajmniej żydowskim elitom. Belgijskich Żydów nie miał więc kto policzyć ani też zidentyfikować... W rezultacie ani jeden nie wpadł w ręce niemieckich oprawców! Nie mieli tego szczęścia Żydzi przyjezdni, głównie z Polski, którzy odróżniali się wyglądem od otoczenia. Tych zgładzono w Auschwitz.

Kto jest Sprawiedliwym?

Holandrzy szcżą się – i słusznie – największym odsetkiem Sprawiedliwych w przeliczeniu na liczbę mieszkańców. Podczas hitlerowskiej okupacji wielu z nich ukrywało w swoich mieszkaniach żydowskich sąsiadów. Mieszkańcy Amsterdamu jako jedyni w okupowanej Europie zorganizowali w lutym 1941 r. strajk, manifestując w ten sposób swoją solidarność z żydowskimi współobywatelami. 20 lipca 1942 we wszystkich kościołach kato-

lickich tego kraju odczytano list pasterski episkopatu Holandii potępiający prześladowanie Żydów przez hitlerowców. W odpowiedzi namiestnik Rzeszy na Holandię Arthur Seyss-Inquart polecił aresztować wszystkich żydowskich chrześcijan, których do tej pory pozostawiono w spokoju. Około tysiąca osób wywieziono wtedy do Auschwitz, wśród nich Edytę Stein – świętą Teresę Benedyktę od Krzyża. Wszyscy zginęli w komorach gazowych. Holendrzy nie mieli tego szczęścia co Duńczycy – ich opór zaowocował represjami okupantów. Niemcy wtedy jeszcze zwyciężali, więc czuli się bezkarni.

Przykład Holandii uczy, jak bardzo błędne mogą być uogólnienia w ocenie postaw ludzi, społeczeństw i narodów wobec tamtej trudnej próby. Według powszechnej dziś opinii jedną z głównych przyczyn skutecznej realizacji planów ludobójstwa Żydów był brak aktów solidarności z ofiarami ze strony nieżydowskiego otoczenia. To właśnie ów brak empatii – twierdzą oskarżyciele – zachęcił hitlerowców do mordów. Takie zarzuty padają także pod adresem Polaków. Tymczasem wystarczy porównać proporcje Żydów, którzy przeżyli, wśród „dobrych” Holendrów (25 procent) i „złych” Rumunów (50 procent), by zadać kłam tej hipotezie. Oczywiście tak wielu rumuńskich Żydów nie ocalili sami Sprawiedliwi – przetrwali głównie dlatego, że rumuńska machina mordów nie była tak sprawna jak niemiecka, nie potrafiła więc uśmiercić wszystkich przed odwróceniem się losów wojny. Jednak również Rumuni ratowali swoich żydowskich sąsiadów. Jeśli robili to wbrew własnym rodakom, powiększa to tylko ogrom ich heroizmu.

Holandrzy istotnie zapisali wspólną kartę w dziele ratowania Żydów. Jednak z drugiej, mniej znanej strony rzeczywistością epoki Zagłady było tam holenderskie SS, policja zapędzająca Żydów do pociągów, kolejarze przewożący „na wschód” wypelnione ludźmi wagony ze sprawnością wywołującą podziw samego Eichmanna („Aż miło było popatrzeć...”). Wreszcie „złote żniwa” tysięcy Holendrów, którzy przejęli majątek po pomordowanych.

Pisząc to, nie chcę bynajmniej formułować nowych, prowokacyjnych porównań. W ogóle we wszelkich porównaniach czasów Zagłady, szczególnie tego, co działo się wtedy z Żydami, a także z ich nieżydowskimi sąsiadami w zachodniej oraz wschodniej części Europy, warto zalecać maksymalną ostrożność. Ów „Zachód” i złowrogi „Wschód” to dwie osobne opowieści. Ale żadna z nich nie powinna być pretekstem do pospiesznej, płytkiej stygmatyzacji czy też gloryfikacji całych narodów. ■

Więcej niż przyzwoitość



MATERIAŁ PRASOWY

JAN GRABOWSKI, HISTORYK

Ponad 800 Polaków zostało zabitych za udzielanie pomocy Żydom. Pytanie, czy to dużo czy mało, jest nieistotne. Ważne jest, że ktoś, kto ofiarował pomoc, musiał się liczyć z tym, że go zabiją.

Kiedy słyszymy dziś rozmowy o pomocy Żydom podczas okupacji, można czasem odnieść wrażenie, że taka postawa była czymś naturalnym, czymś, czego należało się spodziewać. A przecież była to kwestia tragicznego wyboru. Z czym musiał się liczyć ktoś, kto pomagał Żydom?

Z reguły polski czytelnik nie zdaje sobie sprawy z tego, że pomaganie Żydom było najbardziej niebezpieczną formą konspiracji w okupowanej Polsce podczas wojny. Było tak dlatego, że ryzyko było właściwie dwustronne. Z jednej strony, wisiała nad nimi konsekwentnie i nieustannie groźba kary śmierci, którą Niemcy szafowali bardzo szczerze. Z drugiej natomiast wiązało się to z zagrożeniem denuncjacji. Nie było bowiem w społeczeństwie polskim takiego ogólnego przyzwolenia na ratowanie Żydów. Krótko mówiąc, nad tymi ludźmi groźba wisiała i ze strony Niemców, i rodaków: sąsiadów, a czasem nawet rodziny. Na tym polegał ten koszmarny dylemat.

A jednak mieliśmy Radę Pomocy Żydom – organizację założoną przez środowiska katolickie, która stała się organem państwa podziemnego.

Żegota była pomysłem dobrze chcących katolików, przede wszystkim pani Zofii Kossak-Szczuckiej. Ciekawe natomiast jest to, że sama pani Kossak-Szczucka nigdy nie weszła do Żegoty. Kiedy dowiedziała się, że do Żegoty wejdą Żydzi, to powiedziała, że jej to nie interesuje, bo chciała, by była to po prostu katolicka rada pomocy Żydom. Natomiast Żegota była rzeczywiście wyjątkową organizacją na skalę europejską, bo była jedyną tego typu inicjatywą.

Na czym polegała jej wyjątkowość?

Na tym choćby, że była wspierana przez rząd londyński. Może nie wielkimi pieniędzmi, ale jednak wspierana. Była zresztą finansowana głównie – choć rząd też dokładał się do tego przedsięwzięcia – z pieniędzy diaspory żydowskiej. Pieniądże te przeznaczano na zasilki dla ukrywających się Żydów. Nie były one wysokie, bo było to ok. 500 złotych miesięcznie, ale sama świadomość, że ktoś o nich myślał, niewątpliwie dodawała tym ludziom otuchy. Poza tym była też sekcja opieki nad dziećmi – tu była pani Sendlerowa, była sekcja ogólna, gdzie był pan Grobelny czy Bartoszewski. Była to grupa osób, które dokonywały niesłychanie ważnych rzeczy. Była to oczywiście kropla w morzu potrzeb, bo działalność Żegoty ograniczała się głównie do Warszawy i Krakowa, ale ta kropla się liczy i dlatego należy im oddać cześć.

Jak bardzo nieuchronna była w Polsce kara śmierci za ukrywanie Żydów. I czy wiadomo, ilu ludzi zostało przez to straconych?

Kara śmierci groziła w Polsce za okupacji za mnóstwo różnych rzeczy, zaczynając od 1942 roku, nawet za posiadanie radia można było dostać kulę w łeb. A poza tym za szmugiel, drobne przestępstwa, a nawet za niekolczykowanie prosiat. Lista była długa. Jeśli chodzi o Żydów, to od października 1941 roku pojawiła się trzecia ordynacja dotycząca ograniczenia możliwości przemieszczania się Żydów na terenie Generalnego Gubernatorstwa, która wносиła karę śmierci dla Żydów opuszczających getto bez zezwolenia, a także dla osób im pomagających. Badałem tę sprawę: sporządzono listę około 800 Polaków, którzy zostali zabici za udzielanie pomocy Żydom – czasami z wyroku sądowego, a czasami w wyniku pacyfikacji. Dokładnej skali nie znamy, na pewno było ich więcej.

Jak różniła się ta sytuacja od realiów w okupowanych krajach zachodniej Europy?

Nie ma porównania. Symptomatyczna jest tu historia żołnierza niemieckiego w Kopenhadze, który został skazany w 1944 roku na kilka lat więzienia za to, że zabił Duńczyka na ulicy. Zrobił to za to, że Duńczyk splunął mu pod nogi. W sądzie tłumaczył się, że tak samo robił w Warszawie, gdzie za takie zachowanie dostawał pochwały. Karą za ukrywanie Żydów było zwykle więzienie. Nie ma sensu jednak porównywać sytuacji Polski z Holandią czy Danią. Trzeba ją porównywać z takimi miejscami, jak Ukraina, Białoruś czy Litwa. Krótko mówiąc, tam, gdzie mieszkała przeważająca liczba Żydów europejskich. To są punkty odniesienia dla nas. I wszędzie tam kara śmierci była stosowana równie szczerze.

—rozmawiał Oskar Górzynski



RIANOVSKI/AFIP

■ Litewskie Żydówki prowadzone na miejsce straceń przez miejscowych kolaborantów

Czwartego czerwca 1950 roku przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie znaleziono ciało niespełna 32-letniego Ludwika Rostkowskiego. Przed wojną – działacz socjalistycznych organizacji młodzieżowych, w okresie okupacji był jednym z ważniejszych współpracowników konspiracyjnej Rady Pomocy Żydom, czyli „Żegoty”. Odpowiadał za znaczną część pomocy medycznej, jaką w Warszawie i okolicy świadczone podopiecznym Rady. Czy było to samobójstwo, czy zrzęcznie upozorowane zabójstwo? Nie wiadomo. Jego śmierć skrywa wiele tajemnic. To zarazem przyczynek do refleksji nad zaniechaniem, do jakiego doszło w stosunku do polskich Sprawiedliwych – zarówno względem osób odznaczonych tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, jak tych nigdy nieuhonorowanych, choć powszechnie znanych, a także tych, którzy mimo zasług pozostali nieznani, na zawsze anonimowi.

Trzysta tysięcy

Owo zaniechanie widoczne jest nie tylko w przypadku jednostek, takich jak Ludwik Rostkowski, ale przede wszystkim w odniesieniu do ogółu. Dość rzec, że blisko 70 lat po zakończeniu II wojny światowej nie potrafimy nawet precyzyjnie określić, ile faktycznie było polskich Sprawiedliwych. Wyznaczyć jedynie możemy, i tak przez wielu kontestowaną, dolną i górną granicę. Tę pierwszą stanowi liczba 6454 osoby zweryfikowane przez Instytut Yad Vashem – tę drugą szacunki najbardziej znanych autorów monografii na temat pomocy Żydom, Teresy Prekerowej lub Gunnara Paulssona, mówiące o około 300 tysiącach osób doraźnie lub stale pomagających.

Historia Ludwika Rostkowskiego pozwala lepiej zrozumieć otchłań powstałą między liczbą osób formalnie uznanych za Sprawiedliwych a resztą pomagających. Wiele mówi nawet jego śmierć. Był Rostkowski jedną z około 5 milionów osób, które zmarły w Polsce w okresie od zakończenia wojny do roku 1963, w którym Instytut Yad Vashem (istniejący od roku 1953) zaczął nadawać tytuł Sprawiedliwego. Wśród tych 5 milionów było wielu potencjalnych kandydatów do tego odznaczenia. Ilu ich było? Ilu spełniłoby wymogi formalne i otrzymało taki tytuł? Określić się nie da. Gdyby jednak do grona 6454 uznanych Sprawiedliwych zastosować tę samą proporcję, jaką 5 milionów stanowiło pośród 24 milionów Polaków żyjących w okresie okupacji hitlerowskiej, to mielibyśmy do czynienia z grupą około 1300 osób. Ilu otrzymało go naprawdę?

Ludwik Rostkowski tak – cudem. Po blisko 50 latach przypomniał sobie o nim jeden z żydowskich przyjaciół, któremu pomagał. W roku 1997 syn Ludwika Mikołaj z rąk ambasadora Izraela w Warszawie odebrał w imieniu zmarłego ojca tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Mniej szczęścia miało wielu żywych. Macocha Ludwika Janina Rostkowska



■ Janina Tyszkowa (łączniczka skarbnika „Żegoty”) z innymi uczestnikami konspiracji, rok 1942

Sprawiedliwi i niesprawiedliwość

MARCIN URYNOWICZ

Do dziś nie wiemy, ilu naprawdę było polskich Sprawiedliwych. Zapomniano o tych, którzy zginęli, świadcząc pomoc, i o tych, którzy przeżyli, a nie zabiegali o splendory. Jak choćby o rodzinie Rostkowskich.

podobnie jak jego żona Maria Papa Rostkowska (zmarła w roku 2008 znana artystka), nigdy nie zostały odznaczone tytułem Sprawiedliwego, choć także pomagały i narażały życie. Zawisło ono na włosku na początku roku 1944, kiedy to jeden z podopiecznych, którzy przewinęli się przez ich dom, wpadł w ręce Niemców i nie wytrzymałszy metod śledczych, zaczął sypać. Rostkowskich uratował telefon od znajomego urzędnika magistratu warszawskiego, który podsłuchiwał rozmowę Niemców, przybyłych w poszukiwaniu dokładnego adresu Polaków. Skończyło się na utracie dachu nad głową i ukrywaniu się, co zresztą nie

oznaczało zaprzestania ryzykownej działalności. O skali zaniechania i zapomnienia świadczy jednak najpełniej los Ludwika Rostkowskiego (seniora), znanego przed wojną lekarza okulisty i działacza socjalistycznego. W dużej mierze to dzięki niemu syn dokonał tak wiele w ciągu swego krótkiego życia.

Ojciec i syn

Ludwik (senior) był osobowością ponadprzeciętną. W drugiej połowie 1940 roku współtworzył Komitet Porozumiewawczy Lekarzy Demokratów i Socjalistów, który w roku 1943 stał się głównym narzędziem „Żegoty”, jeśli idzie o niesienie pomocy medycznej. To on współtworzył konspiracyjne pismo bez tytułu, zwane Abecadłem Lekarskim, jednoznacznie potępiające antyżydowską politykę okupanta. Na łamach tego pisma jego syn Ludwik (junior) wzywał wiosną 1942 roku polskie i żydowskie społeczeństwo do solidarności w obliczu wspólnego wroga: „Uświadomione społeczeństwo polskie i żydowskie winny widzieć w sobie wzajemnie sojuszników w walce ze wspólnym wrogiem. Świat lekarski winien w szczególności przeciwstawić się szkodliwej propagandzie antyżydowskiej (...) Lekarz w każdym cierpiącym i chorym widzieć powinien przede wszystkim człowieka”. Przeżył on syna o 23 lata,

zmarł w roku 1973. Mimo to podzielił los wszystkich nieuhonorowanych.

Taki był też los jego znajomych. Chociażby Janiny Tyszkowej, łączniczki Marka Arczyńskiego, skarbnika „Żegoty”, która w sekcji pomocy medycznej współpracowała z Ludwikiem Rostkowskim (juniozem). Spotykali się co kilka dni, przekazując sobie informacje o osobach potrzebujących opieki lekarskiej. Na ich podstawie Ludwik decydował, gdzie jakiego specjalistę posłać (w lepszych przypadkach udawał się sam). Ich spotkania nie należały do bezpiecznych. O jednym, na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej, Janina opowiadała: „Ludwik strasznie zdenerwowany tam na tym rogu krążył. Jak ja podeszłam do niego, to zdążył powiedzieć: »Mnie tu obserwuje jakiś typ«. No i rzeczywiście za chwilę podchodzi jakiś, rozdziela nas: »Do bramy! Do bramy!«. Zaczyna nas indagować: »Kennkartę proszę!« i w końcu mówi tak: »Pani to może iść, a pan pójdzie ze mną«. Także ona nigdy żadnym tytułem odznaczona nie została. Nie starała się, jak mówi, do głowy by jej nie przyszło.

Nie przychodziło to do głowy nie tylko ratującym, ale także ratowanym. Siostrzenica Adama Czerniakowa, prezesa getta warszawskiego, Janina, przetrwała wojnę u polskiej rodziny w podwarszawskim Pruszkowie. W rozmowie przed kilku laty przyznała, że nie pomyślała nigdy o tym, by za rzecz tak normalną i ludzką jak uratowanie drugiemu człowiekowi życia

domagać się dla kogoś nagrody. Zgadzał się z tym żyjący jeszcze wówczas jeden z jej opiekunów, Tadeusz. Także dla niego w staraniu o odznaczenie byłoby coś dziwnego, wręcz niesmacznego. Wzbraniał się, gdy jego czyn nazywano bohaterskim. Ani on, ani jego owdowiała matka, dwóch braci i szwagierka, którzy także w opiece nad Janiną uczestniczyli, nie zostali uhonorowani.

Zapomniani

Obecnie, z perspektywy 70 lat od zakończenia II wojny światowej, trzeba przyznać, że to przede wszystkim my sami nie uhonorowaliśmy swoich Sprawiedliwych, że doszło z naszej strony do zaniechań nie do odrobienia. Wymarli już świadkowie i uczestnicy wydarzeń, a wraz z nimi pamięć o ich czynach. Spóźniła się historiografia. Pierwsza monografia dotycząca pomocy Żydom ukazała się dopiero w roku 1963 z inicjatywy Żydowskiego Instytutu Historycznego. Nikt nie zgromadził nigdy bibliografii artykułów prasowych, traktujących o Sprawiedliwych. To, co zrealizowano w ostatnich latach, to w dużej mierze powtórzenie osiągnięć Instytutu Yad Vashem.

Nie ma co się oszukiwać. Sprawiedliwi pozostawali przez ponad pół wieku wyrzutkiem naszej historii. Tłumaczenie tego potrzebą opisania w pierwszej kolejności wydarzeń najważniejszych i najtragiczniejszych oraz brakiem wolności słowa w epoce komunizmu nie wytrzymuje krytyki. Gdyby chciano – pisano by, w taki czy inny sposób. Zbierano by relacje. Prawdziwą przyczyną milczenia był fakt, że dziejów „sprawiedliwych” nie zaliczano do głównego nurtu polskiej historii. Uznawano, że jest to fragment obcej nam martyrologii Żydów. Naukowe badania nad Polakami represjonowanymi za pomoc Żydom dopiero w ostatnich latach podjął Instytut Pamięci Narodowej.

Można się zżymać, można krytykować Instytut Yad Vashem za wiele niedociągnięć, za opieszałość, za zbędne i uciążliwe procedury, za niechęć okazywaną polskiej stronie, za nieudostępnianie dokumentacji o Polakach nieodznaczonych tytułem Sprawiedliwych. To wszystko prawda. Ale właśnie ten instytut jako pierwszy tą kategorią Polaków poważnie się zainteresował. On ich wyodrębnił, niejako stworzył, przechował o nich pamięć, i to on wreszcie uświadomił nam ich znaczenie oraz rolę, jaką odegrali w polskiej historii. I za to zawsze należeć mu się będą słowa uznania oraz wdzięczności. Rozliczenie innych musi być poprzedzone własnym rachunkiem sumienia. By nas nie pytano: Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz? Miejmy nadzieję, że dzisiejsza Polska, a przede wszystkim takie instytucje jak świeżo otwarte Muzeum Historii Żydów Polskich, uczynią co w ich mocy, by ani jeden z polskich Sprawiedliwych nie został już zapomniany. ■



■ Ludwik Rostkowski junior, zdjęcie z roku 1939

• KONFERENCJA

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, **Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFIS PAN** oraz **Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma** zapraszają na międzynarodową konferencję naukową „Wokół pomocy dla Żydów w okupowanej Europie”.

Konferencja odbędzie się w dniach **13–15 listopada** w Warszawie w siedzibie ŻIH (ul. Tłomackie 3/5) i w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25).

W ramach konferencji przewidziane są następujące **sesje i panele dyskusyjne**: Upamiętnianie Sprawiedliwych w Polsce | Pomoc indywidualna – studium przypadku | Żydzi pomagający Żydom | Pomoc zorganizowana – ruchy oporu | Pomoc zorganizowana – studium przypadku | Pomoc zorganizowana – informowanie świata | Sprawiedliwi wśród Narodów Świata – studium przypadku | Sprawiedliwi wśród Narodów Świata – wyzwania | Wspólna historia? Wspólna pamięć?

Autor jest historykiem zatrudnionym w Biurze Edukacji Publicznej IPN w Warszawie. Opublikował m.in. „Adam Czerniaków 1880-1942. Prezes getta warszawskiego”, Warszawa 2009